

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosobnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 46 z dnia 17 listopada 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

POLECA:

WEŁNY,
DAWEŁNY,
JEDWABIE,

BIELIZNĘ I GALANTERJE:

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA.

WYPRawy ŚLUBNE od 1000 MKS.

OKRYCIA
BEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKIENKI DLA PANIENEK-UPRANKA DLA CHŁOPCÓW-BEKIESZE I PALOTY DLA PANÓW

OBUWIE:
DAMSKIE I
DZIECIĘCE.

10428

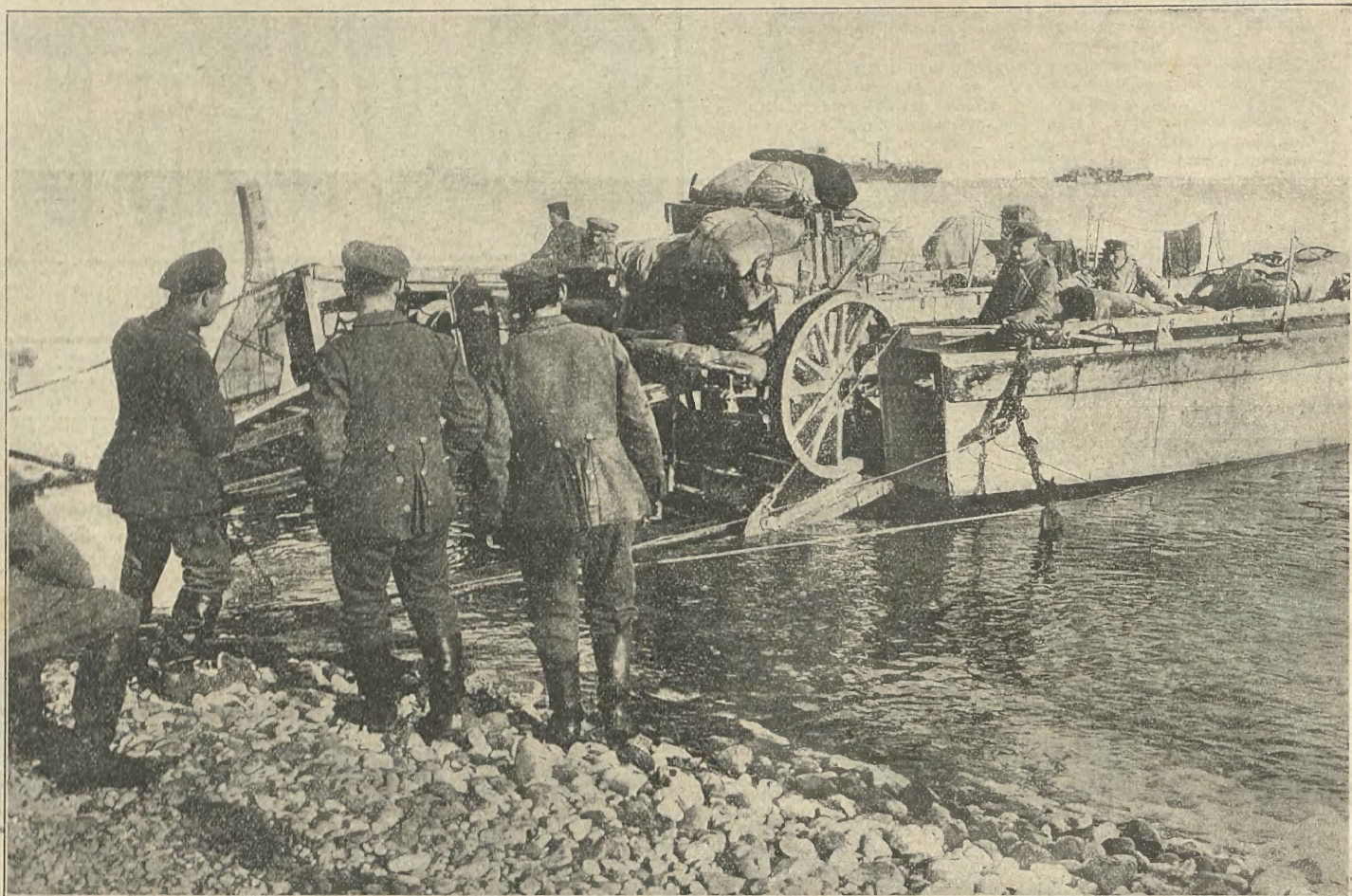
Państwo a sztuka.

Państwo nowożytnie jest nietylko obrońcą lecz jednocześnie wychowawcą narodu. W rządzie licznych obowiązków, spadających na państwo, dbałość o rozwój sztuki narodowej zajmować winna miejsce zaszczytne, gdyż sztuka jest ducha narodowego wyrazieliwą i podpora. Wszelkie dziedziny twórczości mogą nosić mniej lub więcej wyraźne ślady narodowe, lecz nigdzie charakter narodowy nie przejawia się z podobną siłą wyrazu, jak w sztuce. Są dziedziny nauk ścisłych stworzone w znacznej mierze przez jeden naród, który w danym kierunku okazał większe zdolności, lecz żadna z nauk nie może rościć pretensji do nauki narodowej, gdyż nauka jako taka jest obiektywna w samym założeniu, a zatem ponadnarodowa, ściślej mówiąc, anacjonalna. Niema matematyki, techniki lub medycyny narodowej, jakkolwiek pewne narody mogły do rozwoju tych nauk najbardziej się przyczynić. Inaczej w sferze twórczości artystycznej. Tu każdy naród przemawia własnym językiem form, form, które pomimo ogólnych

pierwiastków i nieuniknionych obcych wpływów muszą wyrażać odrębność narodowej psychiki. Wspomaganie sztuki jest przeto umacnianiem ducha narodowego, a od tego zadania żaden rząd uchylać się nie może. Ponadto sztuka narodowa odgrywa częstokroć bezpośrednio rolę czynnika polityczno-agitacyjnego. Wiadomo, iż liczne imprezy artystyczne na gruncie obcym popierane są przez dyplomację, wiadomo, jakie targi dyplomatyczne odbywają się przy każdej międzynarodowej wystawie, na których dla nas nigdy miejsca nie było, chyba że w użyczonym z łaski pawilonie austriackim. Skutkiem swej bezpaństwowości, sztuka polska nigdzie odpowiednio wystąpić nie mogła, gdy tymczasem taką naprzykład balet rosyjski, popierany przez dyplomację i kupną prasę zdobywał w Paryżu i Londynie opinię dla Rosji.

Zadania państwowe w sferze sztuki są tak liczne, iż wywołują konieczność stworzenia specjalnego wydziału przy ministerjum, jak to ma miejsce we Francji i we Włoszech

(Sous-secrétariat des beaux-arts, Direzione generale delle belle arti), wydziału, kierowanego przez historyków sztuki, muzeologów, artystów i architektów-konserwatorów. Działalność państwa sprowadza się w istocie swej do roli opiekuna i roli odbiorcy. Państwo jako opiekun sztukę powinno zakładać muzea, szkoły sztuk pięknych, szkoły przemysłu artystycznego oraz urzędy konserwatorskie, których fachowej opiece podlegają wszystkie pomniki i zabytki kraju łącznie ze zbiorami prywatnymi. Państwo, jako odbiorca, powinno dawać artystom jaknajszersze pole działalności, gdyż ono może być największym i najlepszym odbiorcą sztuki. Zamiast wątpliwych subsydjów i zdawkowej filantropji mecenasów, do których czasem i państwo należy, starać się i żądać trzeba, aby wszystkie państwowa obstalunki od gmachów aż do asygnat bankowych, uniformów i budek strażniczych przechodziły przez ręce artystów. Zdrowy grunt dla sztuki narodowej stwarza jedynie realne zapotrzebowanie, nie zaś filantropja. Jeżeli państwo polskie będzie „zaopatrywało się” u artystów, wtedy stanie sztuka polska na mocnych nogach, architekti przestaną szkicować projekty fantastycznej architektury, a malarze



Wyładowanie z łodzi materiału artyleryjnego na Ozyli przez wojska niemieckie.

pójdą drogą monumentalnego malarstwa, zamiast wyrabiać pejzaże i martwe natury na jarmarku „salonów”. Państwo jako pracodawca i odbiorca sztuki przerasta skalą swych zapotrzebowań i środków wszelkie towarzystwa i kluby mecenasów. Dla dobra sztuki narodowej państwo uczynić może bardzo dużo. Nie starając się bynajmniej narzucać takiego lub innego kierunku, stwarzając sztukę oficjalną lub akademicką, podnieść ono może ogólny poziom, dając prace, które dotychczas artystów polskich omijały. Przykłady historii sztuki wskazują, iż największe dzieła właśnie drogą obstalunku powstały, i że sztuka wtedy jest żywotną, kiedy wspiera ją realna potrzeba. Niechęć do sztuki obstalunkowej powstała dopiero w czasie, kiedy sztuka społecznie zdegenerowała, kiedy przestała być potrzebą, stając się zbytkiem. Od państwa żądać należy, aby sztuka nie była dlań zbytkiem,

leżono koniecznością dobrze zrozumianych zadań kultury narodowej. Trudności finansowe, jakie niechybnie czekają młode, z gruzów powstałe



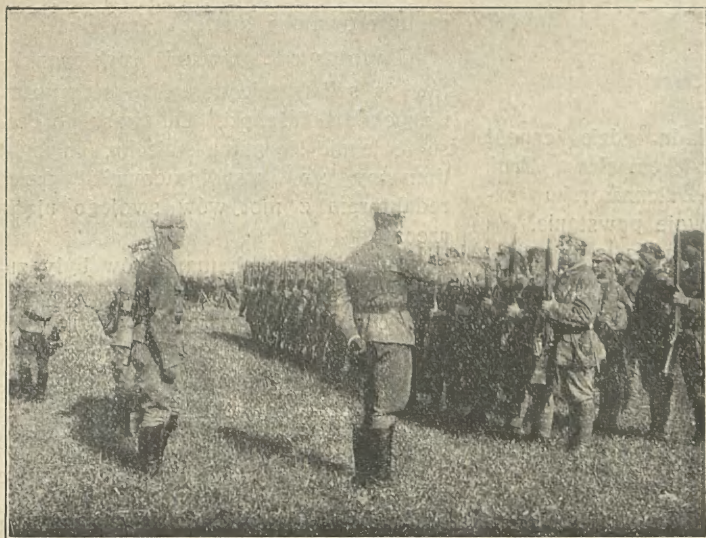
Żołnierz turecki pod Gazą w masce ochronnej.

Państwo Polskie, nie rokują nadziei, aby sprawy ze sztuką związane opływać mogły w znaczniejsze fundusze. Lecz nie na funduszach wyłącznie kwestja ta się opiera. Uzdrowienie naszych opłakanych stosunków artystycznych i pomoc świadczona sztuce narodowej, polegać musi nadewszystko na racjonalnem postawieniu i ujęciu sprawy przez ludzi z dziedziną tą obznajmionych, fachowych, o szerokich horyzontach i trafnej, pozbawionej doktrynerstwa orientacji. Z drugiej zaś strony pamiętać należy, iż sztuka jest realnym kapitałem, że prócz zdobyczy moralnych dla kultury narodowej, dawać może również znaczne zyski materialne. Spodziewać się można, iż państwo polskie zajmie w stosunku do sztuki stanowisko przychylnie, przychylnie nie w sensie zdawkowego filantropijnego poparcia, lecz w sensie racjonalnego ujęcia rzeczy.

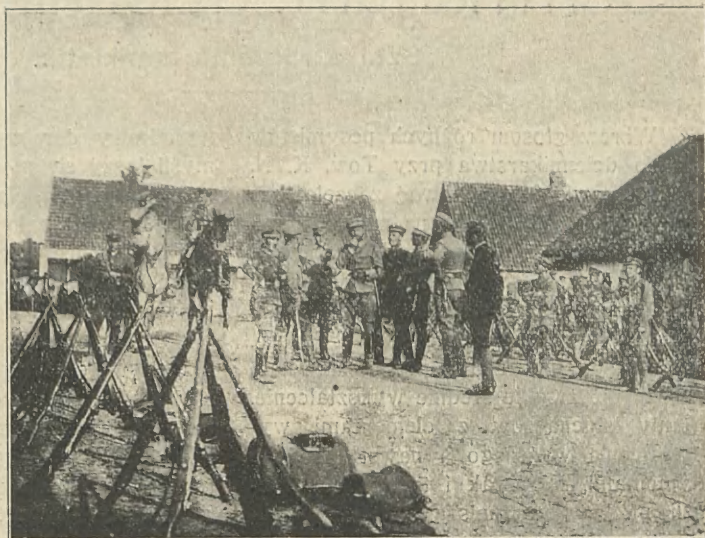
Alfred Lauterbach.

Z obozu wojska polskiego w Pułtuskiem.

483



Szczegółowy przeglag 12-tej kampanji.



Spoczynek 2-go pułku piechoty we wsi Karniewie.

Z obozu wojska polskiego w Ostrowiu Łomżyńskim.

(Fot. Kap. S. Siczek.)



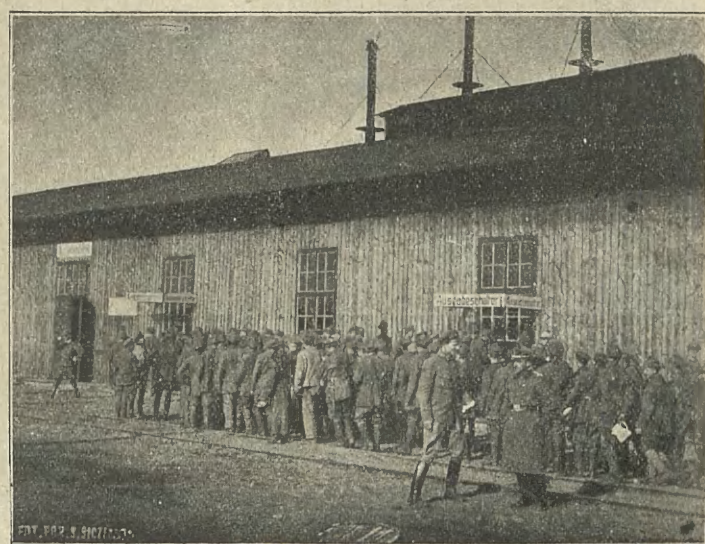
Rekruci uczą się strzelać.



W szpitalu obozowym.



Nabożeństwo dziękczynne z powodu patentu 12 września.



Obiad w czasie przewozu wojska na stacji kolejowej.

Seminarjum dziennikarskie.

Sztuka robienia mankietu.

Wbrew głosom różnych pesymistów Szkoła dziennikarstwa przy Tow. K. N. w Warszawie funkcjonować zaczęła. Inicjatywa więc nie poszła na marne, a nawet dyrektor p. Wincenty Kosiakiewicz jest bardzo zadowolony z materiału, jaki się dostał do szkoły. Mówi on:

„Dopisała nam i ilość i nawet jakość. Większość słuchaczy przyniosła nam więcej, niż zwykle średnie wykształcenie. Mamy słuchaczy z elementami wykształcenia wyższego a nawet i z jego dyplomami. Nie brak i takich, co przeszli przez poważniejszą praktykę polityczną a nawet już i dziennikarską. Można było z takim kompletem przystąpić odrazu do prac seminaryjnych. Szkoła posiada materiał bardzo już zaawansowany“.

Zainteresowany szkołą, poprosiłem dyr. W. Kosiakiewicza, by mi pozwolił wziąć udział w kilku wykładach. Chciałem też być obecny na seminarjum. Profesorowie chętnie zgodzili się na moja propozycję...

Red. St. Kempner, jako fachowiec, posiada ustaloną reputację. Jako profesor, wykazuje się też wielką przejrzystością wykładu i umiejętnym podaniem materiału. Uczniowie są bardzo zadowoleni z jego godzin. Red. St. Kempner mówi o „Organizacji pracy redakcyjnej“. Wykłady sekretarza Szkoły, dr. Ig. Halperna, cieszą się też dobrze zasłużoną frekwencją... Nie dziwnego — dr. Halpern jest jednym z poważniejszych naszych uczonych i filozofów. Posiada też zgoła

wyjątkowy dar wykładu, gdzie jasność myśli łączy się z wdziękiem słowa. Prof. Halpernowi Szkoła Dziennikarska zawdzięcza nie mało swoje powstanie.

Byłem też obecnym na seminarjum dziennikarskim, które obok wykładów prowadzi dyr. W. Kosiakiewicz...

Seminarjum to jest... nieistniejącym, fikcyjnym dziennikiem. Tu zaprawiają się młodzi adeptci do sztuki pisania tak najskromniejsze wzmianki reporterskiej, jak i artykułu wstępnego. Funkcje redaktora, sekretarza redakcji, sprawozdawcy, feljetonisty, reportera stoją otworem przed wszystkimi słuchaczami; muszą przez nie przejść, by w przyszłości posiadać już pewną dozę doświadczenia.

Seminarjum takie trwa dwie godziny co tydzień.

Właśnie trafiłem na seminarjum, gdy dyr. W. Kosiakiewicz odczytywał „mankiety“ swoich ucni. Jako redaktor fikcyjnego dziennika, prosił swoich współpracowników, by opatrzyli bieżący numer fikcyjnego dziennika sensacyjnymi nagłówkami. Takie podtytuły, tak zwane „mankiety“, są w każdym dzienniku, obliczonym na sensację, bardzo cenne. Sztuka zrobienia takiego „man-

kietu“ nie jest wcale łatwa. W krótkim, lapidarnym określeniu musi być zainteresowująca synteza artykułu.

Podczas odczytywania tych mankiętów na sali panuje nastrój sympatyczny i zupełnie koleżeński. Od czasu do czasu rozlegnie się gama śmiechu. To znów tłumaczy się „współpracownik“ przed redaktorem z motywów swojego ujęcia rzeczy.

Niektóre z tych mankiętów były zupełnie dobre i kwalifikowały się do druku. Dyr. W. Kosiakiewicz kwalifikacje takie wygłasza publicznie. Tego rodzaju postępowanie wytwarza szlachetny rodzaj współzawodnictwa. Uczniowie garną się do szkoły z pasją i zamiłowaniem.

Jeden z mankiętów zasługuje, by go powtórzyć. Przyszła koleżanka nasza, słuchaczka Kursów Dziennikarskich, pyta w swoim pomysłowym tytule: „Co robi pewna administracja sklepów Sekcji Żywnościowej, nie mając już oddawna nic do sprzedania?“

Jest to pytanie, które zapewne dla szerokiej warstw ludności dziś posiada wartość pierwszorzędną. Wycucie tego, co ma charakter zainteresowania ogólnego, należy do instynktów, jakimi posługuje się właśnie dziennikarz.

Szkoła dziennikarstwa jest na dobrej drodze. A że była potrzebna — niech zaświadczy fakt, iż zapisało się do niej blisko 40 słuchaczy. F.



Dyrektor Wincenty Kosiakiewicz: „Słuchaczy mamy 40. Prac seminaryjnych doręczono mi 24. Z nich 11 uznałem za kwalifikujące się do druku.

Fot. Maryan Fuks

MATA HARI.

Sąd polowy francuski skazał na śmierć znaną tancerkę Mata Hari. Nie pomogła interwencja rządu holenderskiego, choć Mata Hari była poddaną królowej Wilhelminy.



Mata Hari.

Wyrok wykonano.

Czy Mata Hari była winną? Czy rzeczywistość donosiła o dyslokacji wojsk francuskich?

Wydaje się to trochę nieprawdopodobne.

Wojna jednak

nauczyła nas tyłu niespodzianek. Tym bardziej, że życie Mata Hari było rzeczywiste bajką nieprawdopodobieństw.

Urodziła się ona na Jawie, jako córka holenderskiego kolonisty. Ojciec jej miał na Jawie duże plantacje, należał do ludzi zamożnych. Matka pochodziła z indyjskiej rodziny. Babka mosiła na głowie dżadem indyjskiego księcia udzielnego.

Jako młode dziewczę, Marja Gertruda Zell, tak bowiem brzmi jej nazwisko rodzinne, wyszła za mąż za oficera holenderskiego Mac Leoda. Wśród cudnych krajobrazów rajy ziemskiego Jawy żyją jednak złe demony. Szczęście trwać tu nie może długo. Po dwóch latach małżeństwa piękna pani Mac Leod ucieka od męża.

Ucieka w obawie przed wymiarem sprawiedliwości.

Był, podobno, Mac Leod bardzo zdrowszy i obyczajnie miał obozowe, żołnierskie.

Na jego postęпки odpowiedziała śliczna Mary Gertruda wystrzałem z rewolweru.

Z Jawy przeniosła się do Paryża. Tu zaczęła sobie dyskutować wszystkie zaległości zawiedzionego szczęścia. Rozrzuciła ojcowski majątek, staje nad skrajem przepaści.

Przyjęta w paryskim salonie hr. Kirewskiej, Rosjanki, zwraca swoją urodę powszechną uwagę. Zyskuje sobie serca całego międzynarodowego wszechświata, bawiąc się w Paryżu.

Nie ma długo starczyło jej pieniędzy.

Pewnego ranka, gdy oddała służącej ostatniego ludziora, wpadła na myśl pokazania światu tańców egzotycznych, które podziwiała sama wśród podzwrotnikowych krajin. Pobiegła do dyr. Musée-Guimet i zaproponowała, by wypożyczono jej odpowiednie rekwizyty. Okazja publicznego popisu zdarzyła się właśnie

w tej porze: Massonet wystawiał swoją „Królowę Lahory“. Był on zresztą już przedtem jej szczerym wielbicielem.

Występ wypadł wspaniale.

Na drugi dzień Mata Hari stała się znalkomitością świata paryskiego. Niebawem poznały ją wszystkie stolice świata, prócz... Berlina.

Do Berlina nie chciała za nic pojechać.

I znów... przez miłość.

Bawiąc się w Paryżu, poznała pewnego pruskiego milionera, szlachcica, który zaczął ją darzyć swojemi względami. Przyszło do rozstania przykrego. Mata Hari nie chciała go więcej widzieć w życiu, ale lękała się, że może go spotkać w Berlinie.

Egzotyczne jej tańce podbijały estetyką linii i ruchu. Były artystyczną interpretacją tańców obyczajowych jawajskich. Mata Hari wykonywała je z wielką intuicją i połotem.

Dodać do tego trzeba, interesującą urodę. Wysoka, gibka o pięknej karnacji ciała — tańczyła przeważnie przysłonięta lekkim muślinem. Gra linii jej ciała wzbudzała nawet w poetach matchmienie i zostawiła ślady w poezji francuskiej, niemieckiej, angielskiej i holenderskiej.

Głowę miała o profilu kamei, oko czarne, wyraziste i usta, jak krew jarzębiny.

Pod nogi jej kłoniły się głowy koronowane. Podbijała serca. Czarowała falistą linią rytmu tanecznego.

Stanąła z odwagą na miejscu kaźni.

Chciano jej zawiązać oczy przed egzekucją. Odmówiła.

Umarła — patrząc w oczy śmierci...

Armja Odrodzenia Narodowego.

Ks. Czesław Oraczewski, prefekt szkół średnich, wpadł na pomysł założenia Armji Odrodzenia Narodowego.

Jest to myśl wzorowana na Armji Zbawienia gen. Bothy. Z racji tej wydał „Regulamini Polaka“, którego treść analitycznie uzasadnia potrzebę „Armji Odrodzenia Narodowego“ oraz daje program ideowych wskazywanych dla tej projektowanej organizacji.



Ks. Czesław Oraczewski.

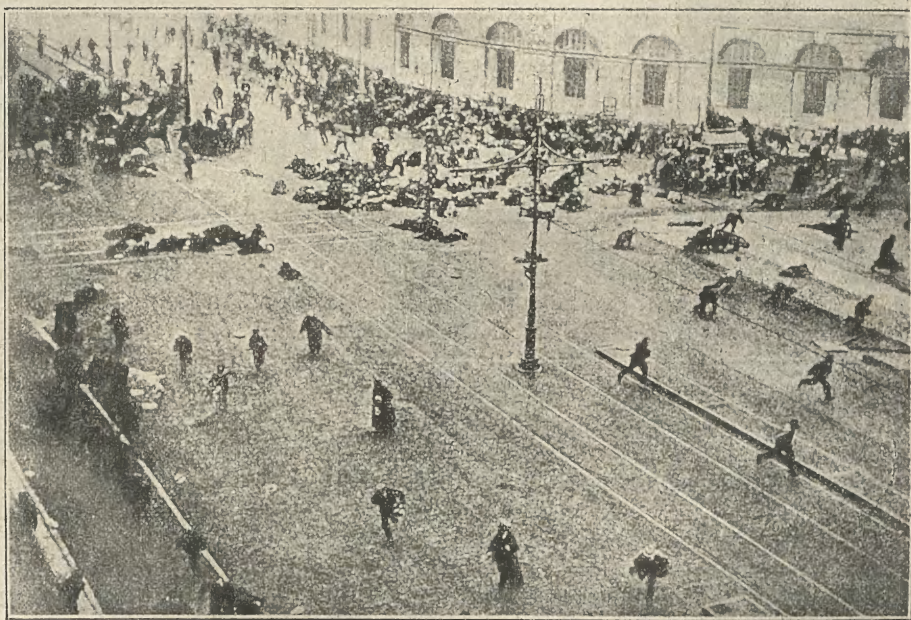
Ks. Oraczewski jest autorem pracy p. t. „Rozwój charakteru“, napisał też broszurkę p. t. „Jak się uczyć“. Dał się poznać jako prelegent, przemawiający w duchu godzącym katolicyzm ze zdobyciami wiedzy współczesnej i popularyzującym różne teorie o zdobywaniu szczęścia na ziemi.

Jak ks. Oraczewski rozumie swoją organizację Armji Odrodzenia Narodowego, świadczą słowa:

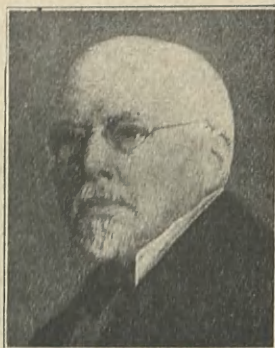
„Wojna wszechświatowa wyłoniła z siebie nowe horyzonty; w naszym narodzie katastrofa obecna powinna dać impuls do stworzenia nowego typu armji, jedynej w dziejach ludzkości — streszczającej w sobie ideę militarystyki duchowego, mobilizację pracy ogólnonarodowej“ (str. 16).

Czy organizacja tego rodzaju uzyska kredyt w społeczeństwie — zdecyduje najbliższa przyszłość.

Wrzenie w Petersburgu.



Z walk ostatnich dni na ulicach Petersburga.



Hr. G. HERTLING, był prezes ministrów bawarskich, nowy kanclerz Rzeszy niemieckiej, przyjaciel Polaków.



Hr. CZERNIN, austro-węgierski minister spraw zagr., konferował w sprawie polskiej w Berlinie w duchu trójalizmu.



Dr. KÜHLMAN, niemiecki sekretarz stanu do spraw zagranicznych konferował z hr. Czerninem w sprawie polskiej.



Dr. ABR. KUYPER, znakomity uczyony holenderski, był minister, przyjaciel Polaków, obchodził 80-ciolecie.

Teatry warszawskie.

Otwarcie Teatru Polskiego pod dyr. Ludwika Solskiego.

„Sulkowski”, tragedia w 5-u aktach Stefana Żeromskiego.

Od pół roku blisko stał Teatr Polski pustkami. Rozbiło się zrzeszenie artystów, które gospodarowało w nim po wyjeździe p. Szyfmana. Milczenie zaległo scenę, która w krótkim czasie stała się ogniskiem rzetelnej sztuki.

Po długich wahaniach Ludwik Solski zgodził się obudzić Teatr Polski z letargu. Wahał się, bo ciężkie brzemię dyrektorskie trzeba było brać w warunkach wyjątkowo trudnych. Wybitniejsze siły aktorskie, zwłaszcza męskie, rozproszyły się

po innych teatrach. Lecz ostatecznie zdecydował się. Skupił garść artystów, przeważnie młodych i mniej znanych. Oby się tylko znalazły wśród nich talenty.

Pod kierownictwem Solskiego dojrzeją szybko i pięknie. Pierwsze przedstawienie już było dowodem, co zdziałać może energia, zapał i wytrwałość takiego reżysera, jakim jest Solski.

„Niesceniczną tragedję“ znakomitego powieściopisarza wybrał nowy dyrektor, za wskazówką swego doradcy literackiego, p. Czesława Jankowskiego, na przedstawienie i

nauguracyjne. I niewątpliwie postąpił trafnie. Ze sceny przemówił poeta. Głos poetów nie często daje się słyszeć w teatrach warszawskich.

Aby wprowadzić wielką powieść dialogowaną Żeromskiego na scenę, trzeba było znacznie ją skrócić. Operacji tej podjął się p. Czesław Jankowski i wykonał ją zreżymie. Nie mógł zmienić tego, co się zmienić nie dało: konstrukcji cokolwiek porwanej, pozabawionej takiej wartości i ścisłości, jakiej wymaga teatr.

Pozostały przecież piękne i barwne obrazy, pozostało parę figur, przedewszystkiem sam bohater, kondotjer wolności, prawy syn ojczyzny, o jej szczęściu i rozwoju nieustannie marzący. Zaprzysiągłszy wierność obcej, francuskiej armii rewolucyjnej, pozostanie jej nieugięcie wiernym. Wszelkie pokusy będą bezowocne. Oprze się nawet porywowi serca ku pięknej księżniczce. Ta miłość dostojnej pani i żołnierza szorstkiego, porywczego, utrzymaną została i na scenie w półtonach bardzo subtelnych, w słowach niedopowiedzianych, jakby pastelowymi nakreślona farbami. Nie zagna rycerz polski szczęścia u stóp ukochanej; nie ziszczą się jego plany i sny o wyzwolonej z więzów niewoli ojczyźnie. Zginie zdala od kraju, żarty tęsknotą nieukojoną.

Faktura „niescenicznej tragedji“ Żeromskiego jest powieściowa. Nie zostały wyzyskane kolizje, jakie się nastęrczały, nie dano im dramatycznego wyrazu. Lecz poziom intelektualny autora, polet wyobraźni, język przedziwnej jędrności i siły, odnoszą zwycięstwo. Przyczynił się do tego niewątpliwie w znacznej mierze Solski, dając dziełu oprawę, godną dawnych tradycji Teatru Pol-

skiego, dobywając zeń przez pomyślową i sprawną reżyserję wszystko, co się teatralnie wydobyć dało. Oczywiście wielkim szkopulem był brak pierwszorzędných sił aktorskich. Szczególniej rola tytułowa w „Sulkowskim“ wymaga odpowiedniego odtwórcy. P. Kochanowicz nie mógł sprostać całkowicie trudnemu zadaniu, przedstawił się jednak jako artysta obiecujący, ładnym obdarzony głosem. W roli księżniczki poznaliśmy p. Korczakową; grała powściągliwie, inteligentnie. Brakło jej może tego uroku, który usprawiedliwiałby płomienny afekt Sulkowskiego. Wydaje nam się, że p. Duninówna właściwszą byłaby do tej roli. Innj artyści starali się z wielkim nakładem szczerego wysiłku, stworzyć całość składną i harmonijną. Wskutek tego przedstawienie wypadło zajmująco. Pod batutą takiego kapelmistrza, jak Solski, można się z wszelką pewnością spodziewać, że każde następne widowisko będzie zarazem nowym etapem rozwojowym. Młode siły wyrobi, parę większych talentów pozyska, — sam wreszcie, jako artysta, będzie niepospolitą siłą atrakcyjną. Początek będzie obfitował w trudności, w przeszukody różnego rodzaju. Nie wątpimy, że Solski zdoła je przezwyciężyć, i że Warszawa w jego imprezie teatralnej pozyska placówkę kulturalną, która zaważy.



Stefan Żeromski.



Ludwik Solski.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Zięć pana Poirier“, komedia w 3-ch aktach E. Augier'a i Sandeau.

Aczkolwek tą komedią autora „Bezczelnych“ nie należy do jego najlepszych utworów, w Paryżu utrzymuje się stale na repertuarze. Stanowi obraz obyczajów z przed 60-ciu lat; przypomina Francuzowi zagadnienia społeczno-towarzyskie i sposób życia jego dziadów. Wydaje mi się przecież, że najlepsze nawet sztuki obyczajowe z czasów dawniejszych interesować mogą głównie środowisko rodzime. Dla cudzoziemców mniej są zajmujące. Inna sprawa z utworami, opartymi na analizie charakterów. Moliere nie straci nigdy uroku na scenie. Z tego powodu, sądzę, że jeśli teatr chce sięgnąć do obcych dzieł dawniejszych, winien raczej wybierać arcydzieła klasyczne.

Nie mam zamiaru wszakże krytykować pomysłu wystawienia „Zięcia pana Poirier“. Augier był jednym z twórców współczesnego teatru. Na nim kształciło się poprzednie pokolenie naszych dramaturgów. Dialog jego do dziś dnia nie utracił finezji i błyskotliwości. Tytułowa postać komedji pozostała żywa, a daje przytem takie pole do opisu niezrównanemu Frenklowi, że dla tego samego zapewne wznowie nie było usprawiedliwione. Miłośnicy teatru mogą na tem przedstawieniu spędzić wieczór rozkosznie. Czy będzie ono uciechą szersze warstwy publiczności, — nie wiem.

Założenie „Zięcia pana Poiriera“ oparte jest na przeciwieństwie między wzbogaconą, dorobkiewiczowską burżuazją, a rodową, zubożałą arystokracją. Między zięciem, któ-

ry chce tylko trwonić majątek żony, nie jej wzamian nie dając, a teściem, który za milionowy posag chce kupić córcę — szczęście, a sobie — zaszczyty, musi nastąpić zatarg.

Usunie go córka, plebujuszka, o sercu i dumie patrycjuszki, uroczą p. Lubicz-Sarnowska, którą Warszawa z radością witała po paromiesięcznej nieobecności. Szlachetność jej obudzi drzemiące gdzieś, lepsze uczucia w arystokratycznym panie, — którego doskonale gra p. Jerzy Leszczyński, — i oboje częstują publiczność na zakończenie istnym pojedynkiem wzniosłych uczuć. Obojgu sympatycznym artystom zresztą bardzo z tą szlachetnością do twarzy.

Świetną całość uzupełniają pp. Różycki i Staszkowski; ten ostatni bardzo starannie sztukę wystawił i wyreżyserował. S. K.

„Dziewczę z Pragi“.

Znany dziennikarz warszawski, p. Z. Trzebiński, napisał wesołą komedijkę p. t. „Dziewczę z Pragi“. Rzec tę wystawił



Teatr Współczesny przy ulicy Mokotowskiej. Wesoła ta komedja spotkała się z uznaniem krytyki i publiczności. Z artystów wyróżnił się p. Wiśniewski, dając dobrze narysowany typ warszawskiego mieszczucha. P. Zejdowski, jako dyrektor, bawił też widzów maską i świetnym

naśladownictwem znanej postaci teatralnej w Warszawie.

Z baletu w Operze warszawskiej.



P. J. Korolewicz-Waydowa, prowadząc bardzo ruchliwie sezon Opery warszawskiej, nie szczędzi też trudu, by wznowić znane popisowe dzieła choreograficzne. Obecnie z powodzeniem wprowadzono na afisz balet Krotkowa p. t. „Kaprys motyla“. Pełna wdzięku i finezji jest ta choreograficzna pieśń, stworzona po to, by ruchem i gestem odtworzyć najsztudniejse poruszenia duszy.

W wykonaniu pieśni tej na czoło wysunęła się p. M. Pawińska, utalentowana prim-balerina naszego baletu. Zwiwna gracia jej gestów, lekkość i wdzięk ruchu tanecznego zjednały jej uznanie krytyki i gorący oklask publiczności.

Członkowie Rady Miejskiej m. st. Warszawy w karykaturze.

Rysował Jerzy Szwajcer.



Seideman.



Korwin-Krukowski.



Rupiewicz.



Wankie.

Ś. p. dr. Witolda Rechniewska.

Znana lekarka warszawska, dr. Witolda Rechniewska, zmarła d. 2 listop. r. b. na posterunku, niosąc pomoc ubogiej ludności. Była żoną pracownika znanego na polu uświadamiania robotników, redaktora „Wiedzy“, ex-katorżanina, który odbył lata całe w aresztach za przynależenie do pierwszej organizacji socjalistycznej „Proletariat“ na ziemiach Królestwa Polskiego w r. 1885. Ś. p. Witolda Rechniewska urodziła się w r. 1862 na Kaukazie. Na studia medyczne do Paryża pojechała już z Syberji. Stała wiernie przy ramieniu męża, dzieląc z nim trudy i znoje życia.



Ś. p. Kamilla Brzskówna.

Młoda utalentowana artystka-malarka Kamilla Brzskówna zmarła, d. 16 paździer. r. b. Zjednała sobie uznanie krytyki za poszukiwania swoje artystyczne i powagę traktowania sztuki. Wystawiała w Salonie Tow. Artystycznego. Jako działaczka społeczna, okazywała



wiele odczucia dla nędzy ludzkiej.

Na froncie włoskim.



Wejście wojsk austriackich do Gorycji.

Wydawnictwo Tow. Akc.
S. ORGELBRANDA S-ów
Encyklopedia Handlowa
2 tomy 15028 Opr. Mk. 50.

KAZIMIERZ TETMAJER
Notatki literackie
Cena Mk. 3.— 15040
Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.



Tungstam 1/2 Watowe

dająienne zesrodkowane swiatlo przy duzej oszczednosci pradu

Bracia Borkowscy

FABRYKA I SKŁADY ELEKTROTECHNICZNE

WARSZAWA

ŁÓDŹ

Jerozolimska 56

Piotrkowska 125

Artykuły elektrotechniczne, jako to: lampki, przewodniki, rurki i materiały instalacyjne w wielkim wyborze stale na składzie. 10420

FORTUNAT STROWSKI

Obraz Literatury Francuskiej w XIX wiku.

(Z przedmową autora do wydania polskiego).

Przekład MARYI RAKOWSKIEJ

Słowo wstępne JANA LORENTOWICZA.

Cena za 2 tomy Mk. 10.—

PRACOWNIA
Krawiecko - Kuśnierska

Br. UNKIEWICZ

WARSZAWA
Hoża № 54.

Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Muflki.

Wielki wybór — Najnowsze fasony. 10396

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.
Do nabycia we wszystkich księgarniach. 15028

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 17 listopada 1917 roku.

Nr 46.

Stanisław Falkiewicz.

NOWELA

Ordynans bojowy.

Przynajmniej pozwolił iść z sobą. Czy na czoło chwilami wybiegać, by zrównać krok z obywatelem komendantem, czy płatać się pod koniec dziennego marszu po bokach kolumny i poważnie odpowiadać nakpiące zapytania kaprali. Zamasztył krokiem szedł Stasiek z ciągłą powagą na twarzy i z bruzdą wśród zsepionych brwi. Mijał zagony dojrzewających zbóż, rozbiegające się ode drogi, przymy szutru, wierzby przydrożne, kurzawą i słońcem spopielone, i krzyże czarne odwieczne. Żaden obraz nie padł na stalowe, dziecinne oczy. Coś w nich zamarało i bielmem leżało — jakaś jedna myśl, przedwcześnie wykwitła, czy zamiar mocny, chłopięcy. Stwardniała i zbronzowała mu twarz pod słońcem i wiatrem gorącym pierwszych dni sierpniowych.

Zaciśkały się usta dumą i wzgardą, gdy we wsi kobiety i dziewczęta ze śmiechem rzuciły pytania.

— A dokąd, panie wojak?

— Na wojenkę mu się zachciewa, a z matczynej pierzyny pierze jeszoze we włosach niesie...

— Ej, dałabych ci wojenkę, smyku... — groziła jedna, przesłaniając ode słońca oczy. Wesele leciało po kompanji, błyski w oczach i głośne odpowiedzi.

— Słyszysz, Stasiek?

Ze wzgardą szedł jawna, omal nie spluwając. Spoglądał „ślepyimi“ oczami.

— Patrzajta, jaki mały! Hej, żołnierz — a gdzie karabin?

Ach, gdyby nie kompanja, gdyby nie szarże, a przedewszystkiem obywatel-komendant, rzuciłby jedno, jedyne słowo złe, a napewnoby dziewucha ze wstydu w ziemię się zapadła. Albo — w pięść się prawa dłoń zaciskała — prętem, lub trzecią po twarzy ciąć...

Na postojach wieczornych, gdy część wiary zajęta była kopaniem piecowisk pod wielkie kotły, rąbaniem drzewa i przyrządzaniem zupy, a reszta odsypiała w cieniu drzew zmęczenie i znój skwarne go dnia, Stasiek podnosił lekko, by dźwiękiem zdračnym nikogo nie obudzić, wern dla „sakramenckiego“, do piramidy dostawionego. Ostrożnie, by kozioł nie pękł i nie upadł. Uśmiechem wyjątkowym przekupił łaskę obywatela Korsarza, pełniącego poważnie wartę przy karabinach i ryszunku.

Najpierw serdecznym ruchem zarzucał broń na ramię i prostował się matychmiast, by nikt złośliwy przez sen nawet nie mógł mu huknąć, że jeszcze nie dorósł do tak świętego ciężaru. I na trzy akty drżącą ręką przystawiał karabin do nogi. Lecz rychło składał się, we wdzięczny łuk wyginając głowę i barki, bo po raz niewiadomo który zmiarkował, czerwieniejąc, że wern del śmie mu nad czuprynę wysterczać. Setnie utrudzony, lecz z zadowoleniem w oczach, szedł ku kuchni.

— Tak, nawet tych wern deli zatraconych mało, a cóż o manlicherach myśleć. Ledwie starczy na pierwszy pluton, co z nimi lekko, jak na prawdę, maszeruje. Kawaleryjski

jedyny, w sam raz — rozmyślał nad menażką — austrjacki, czy kozacki. ... Co robić, kiedy Beliniacy nawet piechociarskim karabinami odparzają bokij chabetom...

Do późnej nocy medytował o bronij, wlepiając ślepią w żar płonącego ogniska.

Wyiskrzonym bezłikiem gwiazd, rozedrganym szlakiem mlecznej drogi w bezmiar leciała sierpniowa noc. W głębinie lazuruwej, jak i w gęstwie ogrodów i lasów przeżyły się moce. Rżyskami i kamienistym zboczem ugorów, szosami i dróżynami śródpolnymi gnał we wszystkie strony spieniony szal i niepokój. Widma konij i ludzi, podjazdów luźnych i kolumn rozwłóczyły się po ziemi całej. Jakby zaginęły z powierzchni ślady i koleiny wczorajszych i onegdajszych dni. Wspomnienie, zda się, do niedawna żywe i wszechwładne, rozwiało się z nadrannymi oparami. Czas — włodarz godzin równo i bezkłótliwie ciągnących — zczezł, a wieki leciały błyskawicowym skretami.

Próżno oczy ludzkie, pomne czekającego znoju, przyzywały sen, próżno myśl żołnierska nakazywała sencu ciszę. Nie było siły, coby krew wrzątkiem przelewającą się w pierśiach ostudziła i w rytm łagodny ukołysać mogła. Szal leciał niebem i ziemią, a czego się tknął, trądem zarażał i w kolisko swe porrywał.

O, nocy sierpniowa, gwiazdami wyiskrzona! Nocy pierwszych upojen i rosnącego wciąż pragnienia... O, nocy! w tobie się już losy wszystkie ważyły, zamierzenia wolne — zwycięstwa i klęski przyszłej! O, gwiazdy! wami ręka mocna zakreślała drogi, wawrzyny i korony — krzywizny złych dni i nagrobne krzyże...

Na klomby kwiatów czar leciał smugą świetlną z okien plebanji. W ciszy, gdy żaden już szelest w domu nie zadrażał, myśli czuwającej aureola padała na trawnik i róże pośnie. Obywatel komendant nie spał jeszcze. Czuwała warta w głębokim cieniu bzu, od czasu do czasu równym krokiem przechodząc ścieżką w drugi kraniec ogrodu. I bolesną chrystusową noc na łamaniu wewnętrznym i żarliwej walce spędzał ksiądz proboszcz.

— Ha, trudno, brak sił... — szepetał, z kąta w kąt chodząc. — Trzeba by lata wszystkie, jak skiby, odwalić, duszę całą przeonać, by uwierzyć. Biedne dzieci — o Panie, mniej zmiłowanie Swe nad nami — jak ómy lecają w ogień. Szaleństwo, jak kiedyś... Lecz dziś nad siły — contra spem sperare...

I młody komendant kompanji po długiej dyskusji przy kolacji łamał się. Pierwsza garść argumentów. Zimną dłoń dotąd czuł na czole.

— Lecz to można było przewidzieć, to starczy głos!

— A naród?...

Stasiak w klombie wjazdowym zaczajony nie doczekał się snu księdza proboszcza. Po dwakroć warta się zmieniła, po dwakroć usłyszał muzykę wymienianych półgłosem hasel. Hasło brzmiało „karabin“, odzew „Kielce“.

Gdy wartownik oddalił się i w zagajniku bżowym utonął — na wschodzie przepływać już poczynaly jaśniejsze drżenia w chłodnych powiewach — Stasiak kocim skokiem przypadł do otwartego okna, bezszelestnie wpłynął do pokoju, w którym ksiądz podejmował wieczorem starszyzną kompanji. Ani jednym ruchem nie omylił się, żadnego sprzętu nie potracił. Stał na kanapie i ręką ogarnął dubeltówkę przy kurkach. Przycisnął do piersi, zdjął długi pas parciany, który podczas kolacji niepomniennie długi czas męczył mu oczy i wichrzył myśli błyszczącymi kapslami ładunków.

Przyczaił się z zapartym oddechem w oknie. Wielki całe... Już od wschodu coraz więcej gwiazd pobladłych gasił wiatr nowy, z nad morza dalekiego lecący. Wreszcie ucichł szelest kroków. Porwał dubeltówkę i ładownicę, okno przesadził i — w krzakach jak duch zaginał.

Po trzech godzinach marszu Stasiak w tyle poza kompanją wydobyl broń — w koc owinięta niósł w ręce — przewiesił na ramię i opasał się nabojami. Śmiać mu się zachciało, mimo całą świadomość czynu i na-

stępstw. Bo przypomniał sobie żywo ilustrację z „Piotra Marica“, czy z innej książki. Wyglądał jak urodzony Boer...

— Stasiak, a toś ty taki?...

— A gdzie taką piękną strzelbę zarekwirował?

— Patrzenie go — złodziejaszek...

Stasiak nie odpowiadał ani słowem, jeno błyskał roześmianem zadowoleniem oczami. Komendant spojrział, lecz nie rzekł nic. Krótki skurecz śmiechu przeleciał mu po twarzy. Milczenie niepokoiło i gasiło powoli radość chłopca.

Na południowym postoju przybiegł ordynans z komendy po Staśka.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

54

— Naturalnie! wasze ideały! Fe! — wzdrygnęła się komicznie hrabina. — Ma foi! c'est pas rigolo! — Ach! Spójrzcie, cóż za cudne łabędzie! — zachwycała się z nieodłącznym złotym face à main przy zmrużonych oczach.

— Nienawidzę łabędzi — zawyrokowała baronowa. — Są tak „z nieprawdziwego zdarzenia“, tak nieprawdopodobne! Czy nie wyglądają jak z blachy, polakierowanej na biało? Kiedy podnoszą w górę pokrywę swoich skrzydeł — ma się wrażenie, że dolna ich część — to puste wewnątrz pudło do chustek, lub rękawiczek. I te bezsensownej długości szyje! Nie radziłabym, aby ktoś odważył się komplementować mnie, że mam szyjkę łabędzią! A teraz patrzcie: stuliły się, jakby pogubiły swoje głowy.

— Wyglądają — zauważyła Irena — jak płynące wielkie kupy śniegu, lub jak duże martwe kłęby waty.

— Ach! Wiecie! — zawodziła swoim monotonna dystyngowanym, zmęczonym i śmiesznie zmanierowanym głosem — hrabina Sylwia. — Tak pragnęłabym usłyszeć choć raz śpiew łabędzi!

Jakby za zakłębieniem różdżki czarodziejskiej dobre losy spełniły jej marzenia: ciszę stawu rozpruł tępy, fałszywy świst łabędzi, stokroć brzydszy od rechotu żab, przypominający raczej zepsutą, fabryczną świstawkę, lub rozczarowujące wszystkie brzydkie odgłosy pompakowego barwnego pawia.

— Widzisz! Chérie! — roześmiały

— Skąd wzięłaś strzelbę? — pytał srogim głosem komendant, lecz w oczach czaiły mu się figlarne błyski, mocą woli w źrenicach chowane.

— Pożyczyłem, obywatelu komendancie.

— Pożyczyłeś?

— Tak. Oddam, gdy tylko zdołę karabin.

— Zameldujesz się u podoficera inspekcyjnego? Wyznaczy ci karną wartę dziś w nocy z całym rynsztunkiem na plecach.

— Wedle rozkazu.

Dalszy ciąg nastąpi.

się. — Tak wyglądają spełnione marzenia!

— Ależ one teraz powinny już umrzeć! — kabotynizowała hrabina, czując, że jej naiwność ma dziś powodzenie.

— Anj im się śni! Mówiłam ci, że poeci kłamią.

— Oh! Ià, Ià! To wszystko co mówisz, ça n'a aucune importance. Nie nawróćcie mnie nigdy na wasz realizm życiowy; tembardziej, kiedy same zawyrokowałyście, że spełnione marzenia nie dają szczęścia. Wolę raczej żyć mojami niespełnionymi marzeniami. Pijesz — umrzesz; nie pijesz także umrzesz. To już wolę nie pić.

— Przeciwnie. To już lepiej pić!

— Patrzenie! — dojrzała baronowa Gizela swojemi egipskimi, pięknymi, lecz błędnymi oczami krótkowidza, zmęczonem; nieustanną lornetką — voyons, voyons!

— Jakaś bardzo szykowna para się tu zbliża!

— Zapewne zakochani! — zwróciła uwagę Irena.

— No! Ci nie wyglądają, jak gdyby nie pozbywali się nigdy rękawiczek i szczypczyków! Bardzo szykowni!

— Fi! Jakiś huzar i kokota! — wzdrygnęła się, lornetując hrabina Sylwia. — Te dany ubierają się ładniej, niż my; tylko nie wiedzą, kiedy jaką suknię włożyć. Nie można przecież nosić dżetów i kapelusza za tysiąc franków przed śniadaniem! Fi! Ten wasz huzar chodzi, jak kaczka.

— Ty byś chciała, aby płynął, jak łabędź.

— Moja droga, i w łabędziach nie zwykłam kochać się. Nie jestem Leda.

— Cicho! Mogą usłyszeć. Zre-sztą już wiem, kto to jest. Znam ich. A jej nie poznajecie?

— Prawda! To panna Blanchard!

— A on?

— C'est le petit Serges Pawloff. Resztę powiem wam później, kiedy już przejdą.

Bardzo zajęte — skłoniły głowy nad swemi robótkami; hrabina Sylwia bardzo pilnie przewracała kartki swojej książki.

Młoda, strojna para, skąpana w słońcu — sunie tuż nad wodą, stanowiąc śliczny sztafaż barwnego pejzażu. Ona z otwartą jasną koronkową parasolką, trochę wypięta i sztucznie wykrygowana, jak wszystkie tancerki; — nie miała określonego typu Francuzki, ani Niemki, ani Angielki. Międzynarodowa, efektowna piękność, w stroju bogatym, podług ostatniego żurnala, — kusiała, podniecała, drażniła, nietylko dużemi powłóczystemi oczami; lecz biustem, zębami w wiecznym uśmiechu, falowaniem ruchów, silnym odurzającym zapachem, ruchomą nozdrzami, każdym atomem swojej jaźni, specjalnie do tego kunsztu wykułtywanej.

Przy niej, dzwoniąc sztylpami i powłóczystą szablą, lśniący srebrem guzików, ostróg i barwnością huzarskiego munduru — kotłował się niedbale młody Pawloff, niższy od niej, drobny, lecz bardzo kształtny z ładną młodzieńczą twarzą jasnego, przedwcześnie podnieszonego hulankami herubinka.

Skłoniwszy się baronowej, on z przesadną oficerską grzecznością, panna Blanchard z teatralnym u-przejmym uśmiechem, skreślił w boczna aleję.

Irena z porzuconą robótką goniła ich uporczywie wzrokiem — silnie naraz zaczerwieniona.

— Czy on się pani podoba? — badała ją baronowa.

— Bardzo — odrzekła szczerze z nieopuszczającym ją jeszcze zaczerwienieniem.

— Czy go pani zna?

— Nie był mi nigdy przedstawiony. Znamy się jedynie z widzenia.

— Poznacie się u mnie. Dobrze?

— ?

— A tobie podoba się Pawloff? — zwróciła się baronowa do hrabiny.

— Phi! Nie odróżniam indywidualności huzarów. Są wszyscy do

siebie zupełnie podobni. Pawłow, czy Iwanow — to zupełnie wszystko jedno.

— Naturalnie. Dla ślepego wszystkie kolory są zupełnie jednakowe! Trzeba ci wiedzieć, że Pawłowowie pochodzą ze starej bojarskiej rodziny książąt na Gruzji.

— Koszałki — opałki! Książę Pawłow — to brzmi tak, jak książę Malinowski! To zapewne syn bogatego moskiewskiego kupca — zadecydowała hrabina.

— Cicho! Mogą usłyszeć.

— A zgodzisz się chyba, że taka panna Blanchard mogła być oszczędzić nam swego zaszczytnego ukłonu — zauważyła z dystynkcją hrabina Sylwia.

— Dlaczego? To jest pierwszorzędna artystka. Bardzo się lubimy. Nie byłam nigdy zazdrosną ani o Pawłowa ani o s. p. mego męża, którego — jak wiecie — panna Blanchard była prawie morgantyczną żoną. W jej objęciach ducha wyzioną!

— Sądzę, że jej nie znasz osobiście.

— Przeciwnie! — uśmiechnęła się zagadkowo baronowa na myśl o pewnej znanej w całym mieście głośnej uczcie, po maskaradzie, na której obie te panie nie świetnie się zachowywały; szczególnie baronowa. — Mamy pewne wspólne wspomnienia bardzo zabawne.

— Nie zazdroszczę.

— Naturalnie. Brałyśmy tam ciukier z cukierniczki bez rękawiczek i bez szczypeków.

— Czy pani uważa za właściwe — zwróciła się hrabina Sylwia do Ireny — aby tego rodzaju kobiety nam się kłaniały?

Irena, dla której życiowe plotki i komeraże wogóle nigdy nie istniały, zajęta wyłącznie własnym życiem, z odrobiną niechęci jedynie względem tak zwanych kobiet bez skazy — odrzekła wymijająco:

— Przyznaję otwarcie, że nigdy nie zastanawiałam się nad tem głębiej. Sądzę wogóle, że nasze ukłony i uściski nie są dowodem ani szacunku, ani sympatii.

— Naturalnie! — zgodziła się baronowa. — Gdyby podawało się rękę jedynie ludziom, których się szanuję — trzeba by je było trzymać w kieszeni, w muftce, lub najlepiej kazać je amputować!

Zebrały robótki, nieknięte Revue de deux mondes i książki; minęły aleje nad stawem, bramę pałacyku i przystały w zachwycie na pięknym skwerze z wodotryskiem i posągami.

Zdała zarysowuje się przed zachwyconemi ich oczami jedyna na świecie arena teatru z bajki: z małowniczo na pół rozwalonemi kolumnami sceny na wyspie, z miejscem na orkiestrę, tuż nad wodą, z prawdziwemi drzewami, zamiast zwykłej malowanej, tak zwanej „wolnej okolicy“, z prawdziwem niebem, zamiast z marszczącego się niezdarnie niebieskiego płótna!

— Oddałabym za to całą Szwajcarię.

— Naturalnie! Wraz z ich serem i z zegarkami.

Minęły złocone mostki, grecką z kolumnienkami świątynię studni; i wdrapowały się aleją pod górę ku domowi.

Baronowa po swojemu oczerniała samą siebie w zwierzeniach:

— Wiecie, właściwie powinna byłam urodzić się mężczyzną: Lubie papierosy, wino, psy i konie. I tak, jak im, zdarza mi się, że, ujrawszy po raz pierwszy na ulicy jakąś nieznaną twarz — zakochuję się naraz na zabój, przekonana, że tylko jedynie z tym zdołam zaznać szczęścia, gotowa uwieść go gdzieś he! daleko — na całe życie: A w następstwie to całe życie może trwać nie dłużej nad trzy dni... A po krótkim czasie niewyleczona ze swych pomyłek — gotowa jestem zakochać się znowuż tak, jak oni, na trzy dni w kim innym, pozostając wierną jedynie miłości, niezależnie czy przedmiot jej nazywa się dziś Piotrem, a jutro Pawłem.

— Phi! Jakież to wstrętne — mieć temperament! — wstrząsnęła się hrabina Sylwia. — Prawda, pani Ireno?

— Naturalnie — odrzekła nie-sklonna do zwierzeń; i taktowniej-sza od nich — milczała, uważając, że podobnie drażliwe zwierzenia są bardzo w złym guście; bo nie wszystkie ludzkie myśli nadają się do wypowiedzenia.

Tylko jej ironiczny uśmiech dość wyraźnie kwestjonował szczerść zwierzeń, wogóle, a jej własnych w szczególności. Jednocześnie zaobserwowała tandetę szczerości i kabotynizmu baronowej, która nie zaciąga się papierosem, a i samą niedawno żartobliwie przyznała, iż wystarcza jej łyżka sosu maderowego do pole-dwicy, aby być pijaną. Skądinąd doszło też do uszu Ireny, że temperament baronowej — to także jedynie fałszywe apetyty.

— Nie pojmuję tylko jednego rodzaju miłości — zwróciła się baronowa do Ireny — którą pani — zdaje się — uznaje.

Irena niepewna jej delikatności, zaczerwieniła się.

— Mianowicie? — zapytała bardzo wyniośle baronową.

— Nie uznaję ani miłości, ani potraw odgrzewanych. Nie są ani smaczne, ani higieniczne.

— Nie rozumiem pani — odrzekła jej zimno, przekonana, że jest to aluzja do powrotnego przyjazdu miss Jackson, lub też do afiszowania się z Umbertem.

— Przecież jest ogólnie wiadomym faktem — ratowała światowo sytuację hrabina — iż kochała się pani ongi przed wyjazdem z kraju, będąc młodą panią, w doktorze Horskim, i że po wielu latach po przyjeździe, jako wdowa, znowuż go pokochała.

— Ach! Tak! — odrzekła, nie lubiąc mówić o sobie.

Rozmowa naraz się urwała. I hrabina Sylwia uważała za właściwe zapłacić ciszę swoją paplaniną, której — zdaje się — już nikt nie słuchał.

— Czy wiecie, że ta Bagatela, do której teraz się udajemy, uchodziła za moich młodych lat za okolice zamiejską. Będąc dzieckiem, mieszkałam tam w tym samym pałacyku z moimi rodzicami na letniem mieszkaniu, w cieniściej parku, ciągnącym się wtedy przez cały obszar ulicy Klonowej aż do kolejki Wilanowskiej. A ojciec mój, zajęty bardzo sprawami swego konsulatu, (który zajmował wraz z naszymi apartamentami całe pierwsze piętro w domu obok pałacu Mostowskich, na modnej ongi ulicy Przejazd) — przyjeżdżał swoim ekwipażem w odwiedziny do żony i do dzieci raz na tydzień w niedzielę. Wychodziłyśmy wtedy na jego spotkanie bez kapeluszy, z guwernantką aż do Doliny Szwajcarskiej.

Irena badała w myślach słusność obserwacji baronowej.

— Prawda! Nie wpadło mi to do głowy. Dziwny gust lubowania się w odgrzewanych potrawach! Nie są ani smaczne, ani higieniczne!

Hrabina Sylwia niezmordowana trzepała bez końca:

— Po obu stronach wiecznie błotnistej Alei Ujazdowskiej — sterzczały zwykłe kupy kamieni, którymi ubijano szosę. W miejscu, gdzie teraz jest park — pasły się na łące krowy; a w miejscu, gdzie jest pałac kadetów — kopano kartofle.

— A królowę Bonę znałaś? — zbudziła się z zadumy baronowa. — Czy wiesz, że umarła?

Hrabina Sylwia, niezrażona — gdakała dalej:

— Allez, que vous êtes cassaute! Matka moja niekiedy wybierała się w sąsiedztwo z wizytami. Do najbliższych sąsiadów należał zamieszkujący swoją willę na ulicy Mokotowskiej (jedynie latem, jako zbyt odległą zimową porą od miasta) — profesor Chałubiński z rodziną. Otóż pewnego razu...

W zapale rozmowy nie spostrzegła, pomimo nieodłącznej lornetki — progę, wiodącego do cukierni w Bagateli i, zmęczona spacerem, od razu jak podcięta — runęła w ramiona bardzo zręcznie podbiegłego, wygalowanego lokaja, który sunął tuż za nią z okryciami.

— Nosisz za wysokie obcasy — śmiała się baronowa.

— Fiche moi la paix! Tu sais, tu m'enbêtes — rozgniewała się w końcu hrabina.

W Bagateli wypity po kieliszku wermutu, zakąszanego biszkoptem, i zmęczone spacerem, powietrzem, wrażeniami — usadowiły się we trzy na głównem siedzeniu swego wygodnego pojazdu z najmłodszą i z najdrobniejszą z nich baronową Gizią pośrodku. Sunęły na miękkich resorach ku miastu.

Zatrzymując się przed mieszkaniem Ireny, baronowa na pożegnanie, ratując swoją „gafię“ zbyt uczciwej szczerości, przypominała Irenie:

— A proszę pamiętać o mojej czwartkowej herbacie. Sans faute. Ręczę, że się nie znudzicie. Dla każdego gościa urządzam niespodziankę. A że jestem dobrym psychologiem — sądzę, że każda niespodzianka będzie miła.

Irenie oczy zabłysnęły. Spojrzała badawczo w twarz baronowej i naraz raka spiekła. Zrozumiały się.

— Chcesz pani wyleczyć mnie z moich złych gustów?

— Być może. U mnie na kolacji nie znajdziesz nic odgrzewanego. Wszystko młode i świeże. Same nowalijki.

Irena promieniała. Na pożegnanie ucałowały się bardzo serdecznie.

— Merçi, chérie. — Dziękuję za cały ten spacer, za dobry pomysł i za miłe wrażenia. C'était tellement gentil.

— Oui, c'était charmant.

— A bientôt, mon bijou.

XXVI.

Irenie nie wychodził z myśli spacer łazienkowski. Nie wzruszała jej — rzecz prosta — ani paplanina hrabiny Sylwii, ani dowcipy baronowej, ani łabędzie, ani słowiki. Lubiała zaglądać faktom śmiało w oczy i za-

konkludowała, nie obwijając myśli w bawelnę:

— A więc nieprawdą jest to, co mówią z przekąsem o pensjonarskich pierwszych zaciekawieniach i o wyjątkowej sile uczuć u tych jedynie, którzy miłości jeszcze dotąd nie zapoznali? Niezależnie, czy miłość jest pierwszą, czy dziesiątą — jest się do końca życia pensjonarką!

— A więc tak! — wyciągnęła się z rękami pod głowę na skórze białego niedźwiedzia, rzuconej na szezlongu z białej laki, w swoim tualetowym pokoju, obitym gobelinem migdałowym w deseń z wielkich sedlerynowych liści i kwiatów. I wpatrzona błędnie w te olbrzymie stylizowane fantastyczne kwiaty, zakrywające różnobarwnością całe tło — pieściła się dźwiękiem powtarzanych w kółko wyrażań:

— Tak, tak. Jestem zakochaną. Jestem zakochaną!

Przywoływała z upartą tęsknotą obraz Serżę Pawłowa. I wnet stawał jej przed oczami ze swoją drobną kształtną postawą blondynka, któremu pieniądze, powodzenie i hulanki — zmiętosily nietylko ciało, lecz i duszę.

Znała go oddawna, z widzenia, z niemych miłosnych rozmów, które zamieniały ze sobą oczami przy każdym spotkaniu. Oczy jego rzucały:

— Pragnę!

Jej oczy odpowiadały zachęcająco:

— Nie mogę przecież pierwsza rzucić ci się na szyję. Staraj się o mnie!

A on nie przedstawiał się jej.

Zaciekawiała ją ta jego nieśmiałość, kaprys, czy też taktyka? I oczy jej, odwracając się od niego, odpowiadały — w ostatnich czasach zrażone:

— Ha! Jeżeli ci na tem nie zależy... Bo tylko niedzara nie potrafi obalić przeszkód.

Znała doskonale szczegóły jego życia z legend i z plotek i wyśmiewała wyniosłość aforyzmu hrabiny Sylwii, dowodzącej, że wszyscy hulanzy są do siebie podobni!

— To jedynie płytki obserwatorowie, jak ślepcy — formują jakieś mgliste pojęcia, które obejmują za ledwie kontury postaci, sprowadzanych do wspólnego mianownika pewnych ogólnych typów.

Dalszy ciąg nastąpi.



SŁOWIANIE I WOJNA.

Uwagi i idee prof. Brücknera.

Sprawa polska wzbudziła ogromne zainteresowanie na świecie. W Niemczech, oczywiście, największe. Mamy w rękę książkę d-ra Reiche, która wymienia jedynie niemieckie prace o Polsce, objaśnieniami najniezbędniejszymi je opatrując; posiada ona 125 stronice ósemkowego formatu. W tej górze bibuły są rzeczy i cenne. Wymienimy wśród nich przede wszystkim gruntowny „Handbuch von Polen“, oryginalne i bystre koncepcje Naumanna, i „Słowianie i Wojna“ profesora berlińskiego uniwersytetu, polskiego uczonego, Aleksandra Bruecknera. Ale znaczna większość tych prac to albo bezwartościowe wywody à priori, jak praca Grabowsky'ego, albo spekulacyjna bibuła, jak pisanina Branderburga. Wolno i należy ją lekceważyć.

Książka prof. Bruecknera wywołała pewne wrażenie w Niemczech. Wydano o niej sądy różne, między temi bardzo stanowcze i sprzeczne. Jeden z recenzentów uznał, iż tak dobrze informującego dzieła o słowiańskim świecie literatura niemiecka nie posiadała dotychczas; inny dziwił się, jak podobna książka mogła wyjść z pod pióra profesora berlińskiego. Mamy obecnie tę książkę po polsku. Autor jej stoi mocno, a nawet z namiętnością polityczną na gruncie aktywistycznym. Żywi on nienawiść do Rosji, zbyt dobrze przez nią zasłużoną. Uważa, że świat stoi obecnie: „U mogiły panslawizmu“. Stanowcze przekonania naszego uczonego ożywiły pióro jego temperamentem niezwykłym, co sprawia, że książka ta czyta się lekko i mile.

Samodzielnych uwag jest tu pełno. Historyk usługiwał w tem dziele publicyście. Nie mniej jednak położymy główny nacisk w naszej notatce obecnej na dzieło historyka, nie publicyście. Mnóstwo tu faktów, umiejętnie zgrupowanych. Polski czytelnik, nawet wykształcniejszy, na każdej niemal karcie dowiadyuje się czegoś nowego a pożytecznego. Książka profesora Bruecknera wybornie się nadaje do wykształcenia politycznego czytelników pism, a nawet i do dokształcenia tych, którzy te pisma piszą.

Omówimy tu, w luźny sposób, parę artykułów z bogatego w treść tego dzieła.

Stosunkowi Polskiej do Rosji wiele prof. Brueckner poświęca miejsca. Panslawizm przedstawia on jako panrusycyzm. Zupełnie słusznie. Nie obudził się w Rosji żaden kierunek wszechsłowiaństwa, któryby nie chciał nam, i wszystkim Słowianom, narzucić caryzmu, grażdanki i prawosławia.

Gdyby nie Polacy, stojący wałem pomiędzy słowianstwem zachodniem a Rosją, kto wie, czy ten „Drang nach Westen“ nie przeniknąłby znacznie głębiej, czy by nie dotarł w swej propagandzie do Adirjatyku.

Ten wał gniewał największych mistyków panslawizmu rosyjskiego.

Samarin mówił:

— Polska, to zatruty sztylet, wbity w serce Rosji.

Temu panslawizmowi uległo parę tylko jednostek w Polsce. Pierwszy Gurowski na Emigracji, po 1831 roku. Drugi Rzewuski za epoki Mikołajewskiej. Ale jego sprawę trzeba poddać rewizji, jak mniemam. Trzeci Krzywicki, ten sam, który Szkołę Główną otworzył i był Dyrektorem Komisji Oświecenia za ery Wielopolskiego i który, powstaniem oszłomiony a represjami zrozpaczony, wydał w Dreźnie broszurę, dająca Polakom radę:

— Zostańmy Rosjanami.

Ten jeden głos polski z serii jest znamieny. I należałoby go poddać analizie. Jest to bowiem głos człowieka bezinteresownego, który żadnych korzyści w apostazji nie szuka i tylko swemu narodowi pragnie oszczędzić długich męczarni, jakie ma za bezpłodne.

Jeden taki głos polski na szali panrusycyzmu — jakże to mało.

Nic w tem dziwnego.

Nie było nigdy w Rosji uczciwego panslawizmu.

Nie było nawet panslawizmu choć cokolwiek politycznym zmysłem opatrzonego.

Zjazd Słowiański w Pradze 1908 r. uwidocznił jaskrawo całą polityczną niezdolność rosyjskiej myśli do pokuszenia się o panowanie nad słowiańskim światem.

Czyż mogło być inaczej, skoro ta myśl nigdy nie umiała zstąpić z krainy fałszów, typowo i klasycznie wyrażonych w takim oto rozumowaniu:

— Opatrzność wyznaczyła Polakom miejsce pomiędzy dwoma światami, dwie dusze przebywają też w ich piersiach. Krew słowiańska ciągnie ich ku Wschodowi z jego uduchowieniem i mistycyzmem; ich kultura natomiast ku materialistycznemu, racjonalistycznemu Zachodowi. Jużśmy sądzili, że wszelka zdrada sprawy słowiańskiej będzie wykluczona; że Polska, której setki tysięcy mieszkańców, uciekających przed barbarzyństwem wroga, myślnie gościnnie przyjęli i nakarmili, jednomyślnie po naszej stronie. I znów stało się inaczej: stary polski dualizm, właściwa tragedia Polski, rozbił pożądaną i oczekiwana jednomyślność narodu. Jawną stała się teraz odmowa Polaków i ich zdrada, popełniona na słowiańszczyźnie.

Tak pisze rosyjski publicysta w czasie wojny.

Tych słów wystarczy w zupełności na podzwonne panslawizmowi.

Rosyjska polityka urzędowa panslawizmem nie zajmowała się właściwie nigdy. Idei nie wypisywała nigdy na sztandarze. Intrygowała na Bałkanach, w Czechach. Jeżeli jednak hasło jakie rzuciła, było nim tylko prawosławie. W tem imieniu pchała się bezskutecznie ku Konstantynopolowi. Struny słowiaństwa między Polakami a Rosjanami nie nawiązywała nigdy. Najdrobniejszych ulg nie czyniła pismom polskim, które próbowały na tej stronie coś zagrać, jak „Chwila“ Przyborowskiego. Ustępstwa dawane Polakom redukowały się do takiej oto figury: gdy Niemcy wchodzili do Warszawy, Rosja zgodziła się dać nam samorząd miejski z polskim językiem; gdy Niemcy i Austro-Węgry zdecydowały się na niepodległość Polski, Rosja ogłosiła swą zgodę na autonomię; gdy niemiecka armija zdobyła całe prawie побереże południowe Morza Bałtyckiego, Rosja gotowa jest nam dać dostęp do morza.

Do szeregu rozdziałów książki prof. Bruecknera dodane zostało krótkie, na jednej stronie zamknięte, „Zakończenie“.

Jest tu wywód ogólny, wyprowadzony z masy nagromadzonego materiału publicystycznego, jednak nie wyczerpującego bynajmniej całego tego zasobu, któryby, w związku z tematem prof. Bruecknera, poruszyć było można.

Wywód głosi:

— Niema już zagadnienia słowiańskiego.

Istnieje tylko cały szereg spraw poszczególnych. Istnieje sprawa polska, i sprawa czeska, i sprawa ruska, i sprawa serbska. Istnieją i inne, które wiążą jakimiś rzeczowo-histerycznymi węzłami poszczególne słowiańskie narody ze sobą. Jest więc sprawa polsko-rosyjska, jest serbsko-kroacka, jest macedońska, żeby wspomnieć o bardziej zawikłanych i drażniących.

Historyczne życie, tkacz, niewiadomo czy wielce misterny, czy też tylko bardzo złośliwy, nader wzorzyście plecie postaw międzynarodowego sukna. Nici się przeplatają, jednorodność znika, powikłanie rośnie.

Wielcy politycy świata obecnego tę różnorodność i powikłanie dopiero teraz spostrzegli, gdy nożyce do ręki pochwycili, aby materiał krajać na garnitury. Mężowie koalicji, jak to autor podkreśla, ludzą się bardzo, jeżeli oszałamiać się dają albo oszałamiać pragną świat frazesami o prawach małych narodów. Trzeba te narody poznać, aby pojęcia o ich prawach nabrać. A o Polakach np. francuscy i angielscy politycy gdzieś indziej informację swoje poczerpywać winni, nie zaś w ambasadach rosyjskich Londynu i Paryża. Jednakże i niemieccy politycy zostali przez wojnę zaskoczeni wysoce złożonym charakterem spraw słowiańskich, a głównie sprawy polskiej. Kolos rosyjski olśniewał wszystkich rozmiarami swojego cielska i blaskiem swojego, dziś zupełnie niezrozumiałego powodzenia. Kiedy Polacy mówili od stu lat nieznużenie, że jest to „kolos na glinianych nogach“, widziano w tem polską fantazję, przez rozdemerwowaną wyobraźnię podyktowaną, słyszano w tem głos polskiej nienawiści. Równie w Anglii, jak i w Niemczech polska kwestja przestała być przedmiotem i zainteresowania, i studjów. Z kolei i na Francję przysłała kolej tej obojętności.

Jednakże polski sąd o Rosji zwyciężył.

I prof. Brueckner uwidoczniła to w dziele przy pomocy mnóstwa piórem uchwyconych taśm historyczno-kinematograficznych.

W książce jego, ze wszech stron oświeconej, Rosja staje przed oczami bestronnego i prawdy dojść usiłującego czytelnika, jak owa „fasada bez wnętrza“ Coustin'a, — jako ów „potiomkinowski krajobraz“, który pokazywano Katarzynie II podczas jej podróży no świeżo zdobytym Krymie.

Dekoracja wspinała, a pod nią próżnia i próchno.

W. Kosiakiewicz.

W SERAJU.

3

NOVELA.

Szywna i nieruchoma, jak cyprys, przed progiem kiosku rosnący, Szwedka kureczowo wpiła palce w łozinową plecionkę, pokrytą mchem. Przedmiotem naigrawań i drwin była w haremie od dawna, lecz sama nie wiedziała o tem nic a nic. Teraz dopiero, gdy ją wezwano do pysznych komnat po to, żeby ubóstwem swoim i prostactwem wzbudzała śmiech powszechny, zgłębiła całą bezdeń osamotnienia i niedoli.

Za oponą szkarlatną ozwały się fletnie. Znow uderzyła ochmistrzyni w odrzwia. W mgnieniu oka podniosła się zasłona. Tancerki weszły do sali, mającej zamiast sufitu kopułę wyniosłą. W kapliczce z kwiatów i lampionów stały klatki, zdobne w girlandy.

Cizba służebnic złożyła korne hołdy sułtance, leżącej na łożu. Przełożona, stanąwszy przed obliczem matki padyszacha, rozwinęła pergaminowy zwój i odczytała ceremonialną orację:

— Szlachetny rodzie papuzi, który posiadasz piękność kwiecica i władasz mową ludzką! — posłuchaj baśni o wszechpotężnym Duchu Tańca. Niezbyt dawnemi czasy żył na tym świecie derwisz żebrzący, imieniem Turk. Co noc zasypiał na gołej ziemi, a we dnie krążył nago po ulicach i gościńcach. Turban na głowie starczał mu za odzież. Razu pewnego zaspokajając pragnienie w źródle pod dębem rosochatym, spostrzegł mąż świątobliwy pacholę, igrające z papugą. Młodzieńczyk ów urodziwy usiłował, wśród płasów, przywiązać do szponów ptaka obrączkę z rubinów i djamentów. — „Jeśliś jest synem sułtańskim“ — ozwwał się Turk, — nie powinienes zaprzącać myśli tańcem i próżnością moją ziemskimi. Wiedz: cenniejsza niżli djament jest kropla żywej wody, zdolna orzeźwić tve gardło; cenniejsza niżli rubin jest każda kropla krwi, zapalająca ogień życiodajny w twych żyłach“. Pacholę rzecze mu na to: „Człowiecze niewdzięczny i żmudny! Inne nauki słyszę od ojca mojego. W mądrości swojej głosi on, że djamenty i rubiny są równie żywe, jak zdroj, jak nasza krew serdeczna... Piękno bowiem jest rosą z olbrzymiego drzewa, które świat cały ocienia i zowie się Bożą Miłością!

Ileć okiem rzucę na jego cudne konary, nie mogę wytrwać na miejscu.. Duch Tańca owłada mną i w podskokach nad ziemią wzbijać się rozkazuje“. I znowu chłopię pisać rozkosznie zaczęło. Derwisz nie zdołał oczu oderwać od niego i sam uczuł nieposkromiony poryw, aby zatańczyć. Nawpół przytomny, chciał wody w dłonie zaczerpnąć. Zaledwie jednak pochylił się nad źródłem, zapłonął wstydem na widok szkarady swych członków wynędzniałych. Opadły mu ręce i leżał złamany na murawie. Papuga, zdjęta litością, począła krążyć nad jego głową coraz to niżej, wreszcie, z klejnotem w szponach, spoczęła na turbanie żebraka, podobna do cudnego pióropusza. Derwisz bez wstrętu mógł przejrzeć się w źródle.. Drżący na całym ciele, powstał z ziemi i pisał razem z pacholęciem. Poprząsił przytem na proroka, że odtąd i on sam i bracia jego w pustelni wśród tańców i radości wielbić będą Boga. — Szlachetny rodzie papuzi! Na pamiątkę tanecznego cudu hołdujemy wam nocy dzisiejszej i wieńce składamy w ofierze.

Zaledwie słowa ochmistrzyni przebrzmiały, tanecznice zaczęły przeginać się rytmicznie. Rozsypał się po sali rój dziewczęcy. Stopy drobne bez szmeru dotykały kobierców. Omdlewająco chwiały się ciała urocze. Welony zataczały koliska w powietrzu. Gdzieś zdaleka dołatywały dźwięki muzycznych narzędzi, stłumione, niewyraźne, jak pogłos śpiewu żeglarzy.

Światłość Gwiazdy Zarannej przymknęła oczy, a ręce zarzuciła nad głowę, szczęśna, że tańcem upaja innych i siebie.. Miała stopy nie większe od dłoni, włos sięgał za kolana. Zapomniała o wszystkim na świecie, prócz tego, że jest piękna... Na pewno, na pewno, da jej padyszach kiosku, purpurę zasłony i fontannę, skąd pachnidła wytrysną!

Pośród motyli ludzkich stała Głupia Szwedka. Światło lamp, obwieszonych wieńcami z piór strusich i mnóstwem chwastów złocistych, padało na jej warkocze. Stała, posłuszna rozkazom, nie domyślając się nawet, że ładnie wyglądała jej postać dorodna, przyobleczona w ubogą szatę roboczą. Nie dziękowała

Bogu za swoją twarz hożą, za jasne spojrzenie i za warkocze miękkie, ni- by jedwab, z którego niewiasty w Brussie tkają sakiewki sułtańskie... Nie rozumiała ponęt ziemi! nie poj- mowała, że w upoieniu zmysłowem mieści się radość niewinna. Nie czu- wał nad nią Duch Tańca od powi- cia... Wśród płasów nie umiałyby bezwiednie wznosić ramion, niby ka- planka w natchnieniu. Nie potrafiła śpiewać usty, ani ciałem. Umiłowa- nia melodji nie dał jej Pan Bóg w chrzestnym podarunku... I nagle sta- ło się dla niej jasnym, że te proste dziewczyny czerkieskie czy lesbij- skie, chociaż się porodziły w lepian- kach równie nędznych, jak jej ro- dzinna chałupa, — posiadają przy- najmniej jedną jedyną wiedzę, której ona nie zgłębi, wiedzę i tajemnicę tańca! Tepe spojrzenie utkwiała w skrawku kobierca pod stopami, czu- jąc z rozpaczą, że ochmistrzyni z za okularów kwadratowych karcąco ra- nią spogląda.

Długo ważyła w myślach, co czynić przystoi. Wreszcie przemknę- ło jej przez głowę, że powinna prze- drzeźnić tanecznice. Z wysiłkiem po- dźwignęła nogi, zlekka kołysząc się w biodrach.

W tej chwili dobiegły do jej u- szu szelesty jakieś i szmery... Zda- wać się mogło, że to wiatr nagły pe- dza listowie zeszcłe po kamiennej podłodze przysionka, tam za drzwiami.

Podniosła oczy. Widzowie, z re- koma przy ustach, natrząsał się pół- głosem z jej ruchów niezgrabnych. Obowiązek wymagał, aby zadowolila ochmistrzynię, lecz mimo wszyst- ko popadła w odrętwienie ze wstydu i złości. Odurzał ją swąd lampionów, z wonią kwiatów zmieszany.

Tańce skończyły się nareszcie... Poniosła koszyk róż ku dostojnej pa- pudze. Znędział, schorowany ptak kulił się na złożonym perście i lypał ślepiami. Szwedce zaczęło dwoić się w oczach... Już teraz nie widzia- ła nawet kobierca pod stopami. Drzą- cą ręką macała przed sobą, jak śle- pa. Runęła na kolana przed klatką, aż zatrząśł się stół perłowy, a ze śliskiej krawędzi zsunął się krzew ró- żany na ziemię...

Naówczas rój skorpionów wy- pełznął z koszyka i z pod roztrącone- go mchu leb węża wyrzwał szeroki i splaszczony.

Przez mgnienie oka gad przeży- się i kołysał, jakby i jego ogarnął Duch Tańca. Potem grzbiet wygiął w skręty faliste i obrócił rozdziawio- ną paszczkę prosto ku papudze.

Ptak w przerażeniu począł bić skrzy- dłami o posrebrzane prety, jak gdyby chciał rozwalić klatkę i uciec pod o- piekę dozorczyńi swojej. I nagle w sali, zarzuconej wiankami z piór, wśród grobowego milczenia wy- krzyknęła papuga jedyne słowo, ja- kiego ją uczono gorliwie:

— Andersson! Andersson! An- dersson!

— Co mówisz? — szepnęła Głu- pia Szwedka, powstając z podłogi. Nawpół przytomnej poczęło się ma- rzyć, że widzi w krzakach różanych Nieuznanego Mesjasza, czyhającego na węże i skorpiony. Natomiast z przed oczu i z pamięci zniknął dla niej tłum widzów, kulących się w przerażeniu na poduszkach i sofach pod ścianami.

Jak najostrożniej podniosła ko- szyk z ziemi i podeszła do okna. Wąż zwrócił ku niej głowę, szybko rusza- jąc żądłem. Szwedka z wolna wzno- siła kosz do góry i zagnęła cisnęła nim w krzaki wawrzynu. Lecz kie- dy ramię cofnęła z za okna, wąż je otaczał pierścieniem. Ugryzł ją w ramię. Z ranki niedużej pociekło trochę krwi. Płaz się ześlizgnął na ziemię i uchodził, lecz Szwedka stopę szeroką postawiła na nim i starła głowę gadziny. Dwa czy trzy kroki zdołała uczynić, zanim znieru- chomiąła, wsparta plecami o ścianę.

Głosy ludzkie i szepty rozległy się nanowo. Atoli siwowłosa sułtan- ka, która w ciągu żywota widywała wezyrów, roznoszonych na jałagana- ch janczarskich, która w ciągu lat wielu co noc słyszała, jak po zasła- nych muszlami alejach seraju snują się dusiciele „Związku Niemych“, — przybiegła do zranionej i obejrzała krwawe ramię.

— Dziecię moje najmilsze! — szepnęła, tuląc Szwedkę, — za cenę życia własnego ocaliłaś ulubionego mi ptaka! Zadałaś przytem nam wszystkim trudną zagadkę... W twem przywiązaniu do żmudnej pracy co- dziennej widzieli inni jedynie głupotę. Wytýkano cię palcem, bo tajemnice tańca obce były dla ciebie. Ach, dziecię moje! Stokroć łatwiej za- władnąć tym kunsztem, niżeli twoją

zagadką. Uwielbiałabym na klęcz- kach Boga ojców moich, gdyby dał synom naszym matki, podobne tobie!

Kiedy pogasły wszystkie lampy w haremie, Światłość Gwiazdy Za- rannej podniosła główkę bezsenną z kobierca. „Więc naprawdę istnieje na świecie coś cenniejszego, niż złotogłowie i klejnoty? Dlaczego ni- gdy dawniej nie mówiono mi o tem?“

— Nie smuć się — przyjaciółki szeptały jej do ucha — nie płacz tak gorzko! I cóż, że nie lubiłaś umarłej niewolnicy? Na to niema rady...

— Nie byłabyś tak smutna, — mówiły nocy następnej, gdybyś wie- działa, co to miłość mężczyzny. Nie trzeba marom całego serca oddawać! Wy, Czerkieski, macie burzliwą krew...

Nawet sułtanka przekładała ła- godnie: „Masz podkrażone oczy, po- bladłaś... Uróżuj zlekka wargi, bo je- śli teraz padyszach cię zobaczy, to długo będziesz czekała na kiosk, czerwonym adamaszkiem wybity.

Światłość Gwiazdy Zarannej u- marła niebawem. Pochowano ją w okolicach Skutari, w pustelni Derwi- szów Tańczących. Zgotowano dla niej mogiłę pod tą samą akacją, pod którą na sen wieczysty spoczęła szwedzka niewiasta. Świątobliwi mę- żowie zasiali tam hjacenty, a miejsce owe nazwali „grobem siostr“.

— Leżą tutaj od czasów niepa- miętnych ciała dwóch księżniczek — tak powiadają derwisze pielgrzy- mom. — Starsza mniemała, że trze- ba Boga chwalić uczynkami dobre- mi, młodsza mówiła, że wielbić Go trzeba tańcem. Nazwano je siostra- mi, obiedwie bowiem służyły Bogu.

Co wieczora w pustelnj brzmią fujarki i trąbki, jakie działwa kupuje na bazarze. Na oścież otwierają się wówczas ciężkie wrota. Pobożni der- wisze boso, w białych opończach, z klasztoru wychodzą i poczynają pła- sać, słuchając, jak wiatr szumi w ga- łąziach akacji.

K O N I E C.



Katolicyzm-ukojenie.

(Karol Peguy).

Prokuratorja Francji republikańskiej rozporządziła, by wszczęto śledztwo przeciwko monarchistom. Dotychczas tolerowano wszystkie zapędy kamelotów królewskich. Na czele ruchu stał wybitny myśliciel, Karol Maurras, jeden z najsubtelniejszych umysłów współczesnych. Szukał on harmonji i ukojenia wśród ruin dalekiej Hellady. Tu budować począł swoją teorię oświeconego monarchizmu. Promieniował na świat cały. I u nas w Polsce znalazł też gorliwych zwolenników, a nawet idee jego na łamach „Przeglądu Narodowego“ spotkały się z wyczerpującym omówieniem.

W literaturze ten ruch umysłowy odzwierciedlił się w idealizmie R. Rollanda, Claudela, An. Gide'a, Du-jardina, Jammesa i Karola Peguy.

Wszyscy ci jednak pisarze wobec katolicyzmu zajęli stanowisko pozytywne. Znów odbył się nawrót do źródeł kultury francuskiej. Znać to szczególnie na R. Rollandzie. Ale w twórczości Karola Peguy ton ten wybija się na czołowe miejsce.

Peguy patrzył wyczuloną żrenicą na Francję, rządzoną przez małą burżuazję. Proletariusz z pochodzenia, ani przez chwilę nie zdradził sztandarów demokracji. Ale pragnął tym sztandarom dać znów przejaskrawiony połot idealizmu, poświęcenia i krynicznej celowości.

Szukał w życiu Joanny d'Arc ostoję dla Francji, toczoney gangreną międzynarodowej bachanalji. Wśród ludu pracującego, wśród cichych tłumów kościelnych znajdował jeszcze wielkość, znajdował patos życia.

Płytki nurt blagi paryskiej, przelewający się olbrzymią falą, znalazł w Karolu Peguy odważnego poskromiciela. Nie zużywał on jednak siły na walkę, na negację. Przeciwwstawił tej fali swoje „cahiers de la Quinzaine“. W czasopiśmie tym przemawiać zaczęła cała elita intelektualnej Francji. Tu począł się też Romain Rolland. Niebawem przekształcono to czasopismo w „Nouvelle Revue Française“.

Ciekawą jest biografia Karola Peguy. Był on synem prostego chłopca, z dziada pradziada osiadłego na roli. Ojciec odumarł go wcześniej. Matka musiała się wynieść do miasta, nie mogąc wyżywić swoich dzieci na wsi.

Znajdujemy ją, jako wyplataczkę krzesel i stróżkę Katedry Orleańskiej.

Tu Peguy pedził lata swojego dzieciństwa.

Dostaje się do Paryża na naukę drukarstwa. Jako zecer, ciężko pracuje na chleb. Niebawem kupuje sobie drukarenkę. Peguy drukarz jest już poetą. W drukarence tej powstają pierwsze zeszyty „Cahiers de la Quinzaine“. Tu zaczyna pisać swoje „Mistère des Saints Innocents“. Stąd propaguje kult dla Joanny d'Arc. Promieniować zaczyna wzniosłą ideę nawrotu do katolicyzmu, by ocalić, zbawić Francję przed wiszącą już w powietrzu zawieruchą wojenną.

Sierpniowe dni 1914 roku porywają go w szeregi armji walczącej.

Własną piersią broczy nad Marną i tu życie swoje oddaje ojczyźnie.

Od tej chwili staje się symbolem Francji katolickiej.

Wszystkie cierpienia i niedolekoi jego pieśni, skąpana w promieniach jasnego idealizmu, czerpiąca swoje natchnienia ze źródeł francuskiej kultury katolickiej.

Niebawem jednak nazwisko jego robi się przykre dla Francji republikańskiej. Rojaliści uczynili z jego twórczości i życia symbol obywatela francuskiego, walczącego za przyszły dzień braterstwa ludów, ale poprzez monarchje.

Ta idea miała być ukojeniem. Miała przynieść dobrą nowinę ludom walczącym, broczącym w krwi.

Rząd francuski zaniepokoił się tą propagandą. Znalazł w niej przestępstwo: pośrednio idea ta godzi w dalsze prowadzenie wojny i, chcąc wrócić na tron Orleana, narzuca myśli o pokoju.

Cichy marzyciel już z za grobu niepokój rząd republikański. Nazwisko jego bowiem uczyniono hasłem. A za tym hasłem znów kryje się hasło: „przez jasny idealizm Joanny d'Arc do szczęśliwej Francji, na której tron, powrócić musi Orlean“.

Zapewne echa te są płonne obecnym. Ludzkość przez wojnę idzie w świat nowy, nieznany. Czyż wracałaby w swoim pochodzie i z gruzów dźwigała idee, które nie mogły wystarczyć narodom?

Szlachetne usiłowania nawrotu pozostaną, jako ślad wzniosły idealizmu. Nowy człowiek musi jednak stworzyć sobie i nowy idealizm. Czy idealizm ten oprze się na katolicyzmie — przyszłość wskaże...

Katolicyzm jest niewątpliwie najżywotniejszą ideą ludzkości. Umiął przecież przetrwać wielkie idee Odrodzenia, przetrwał dumnie czasy Reformacji, przeciwstawił się Wielkiej Rewolucji — obudził Miche-

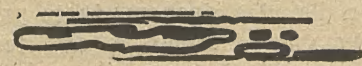
leta, Quineta, Lammains'go i Mickiewicza. I dziś, choć zewsząd padają zatrute strzały, gałązkę oliwną pokoju trzymają w rękach swoich arcykapłan rzymski.

Katolicyzm-ukojenie, arka przyciemniona dla zmęczonych i okrwawionych dusz, wydaje się dla Francji rojalistycznej źródłem i hasłem — poprzez które dąży do swego celu:

Weszać króla i uczynić pokój.

Nazwisko zaś żołnierza-poety stało się synonimem programu: przez idealizm do tronu.

Dr. Z. M.



Z literatury.

Dzieje szkolnictwa polskiego z rzutem oka na jego przyszłość.

W przełomowej chwili dla naszego szkolnictwa opracował dr. M. Janik „Dzieje szkolnictwa polskiego z rzutem oka na jego przyszłość“, dając w niezmiernie barwnym, popularnym szkicu charakterystykę najwybitniejszych momentów tych dziejów. Z przeszłości wybrał autor tylko to, co każdy Polak, w pierwszym rzędzie nauczyciel polski, wiedzieć powinien, a co streszcza się w następujących rozdziałach pracy: Za Piastów — Akademia Kazimierzowska; Epoka Jagiellonów; Królowie elekcyjni — Szkoły zakonne, Teoria pedagogiczna. Reformy St. Konarskiego, Komisja Edukacyjna. — Kółkaj i Piramowicz; Pierwsza szkoła rycerska; Uniwersytet wileński. — Liceum Krzemienieckie; Ks. Warszawskie; Król. Kongresowe; — Rzeczposp. Krakowska; Teoria pedagogiczna między r. 1740—1831; Uwagi ogólne o szkolnictwie porozbiorowem.

Praca dr. Janika jest niezmiernie aktualną dla dzisiejszej doby, powinni się z nią zapoznać nauczyciele i wszyscy, komu sprawy szkolnictwa polskiego nie są obce.

O Witkiewiczu.

P. Tadeusz Kornifowski ułożył bardzo ciekawy wyciąg postulatów światopoglądowych Stanisława Witkiewicza. Dotyczy on pierwiastków walki w twórczości i działalności Witkiewicza i określa jego stosunek do sztuki i życia, ocenia wartości etyczne, pokazuje pogląd na zagadnienie życia narodowego i na urzeczywistnienie idei żołnierstwa polskiego. Książka ta może być bardzo użyteczną popularyzatorką twórczych idei Witkiewicza.

